

Idealny wychowawca - Helena

Idealny wychowawca ... Spotkałam takich na swojej drodze... A przecież też brałam udział w „poprawianiu” życia innych ludzi - mam, ojców, dzieci; po to, aby scalić porozbijane kawałki rodziny. Kiedy zaczynałam pracę w domu dziecka, miałam wrażenie, że jestem w stanie przenosić góry. Każdy najdrobniejszy sukces przynosił radość. Rozpierała mnie duma z powodu najmniejszej zmiany zachowania dziecka czy rodziców. Przecież poszłam na studia pedagogiczne właśnie po to - żeby pracować z dziećmi. I z pełną świadomością rozpoczęłam pracę w „placówce”. Chciałam towarzyszyć dzieciom w życiu. Zdawałam sobie sprawę, że nie mam co porównywać swoich doświadczeń do często okrutnych, bolesnych wydarzeń z życia tych dzieci. Jak miałam im powiedzieć, że rozumiem ich żal do rodziców, że kiedyś będzie dobrze...? Nie miałam podstaw do takiej pewności. Z czasem jednak, w wyniku nauk innych, starszych stażem wychowawców pojawiło się nowe uczucie... Jak je nazwać? Znieczulica? A może po prostu ZAKŁAMANIE... Kolejne dziecko, kolejna podobna historia... I czym się tu przejmować... Działając, pomagając - słyszałam „I po co to robisz, rób tylko to, co do Ciebie należy”, albo: „Rób tak, aby dyrektor był zadowolony, wykonuj polecenia”. „Uwaga, uwaga: Zbliżają się wakacje..., który zespół wychowawców pozbędzie się największej liczby dzieci na lato, ten zespół ma wolne...”. A przecież my wychowawcy też jesteśmy ludźmi. Mamy swoje rodziny, dzieci... I jaką mamy podjąć decyzję? Przecież i tak w pracy spędzamy tyle czasu, że mijamy się z własnymi dziećmi... Kiedy wychodzę do pracy, śpią, kiedy wracam, śpią. Ktoś inny odrabia z nimi lekcje, odprowadza do szkoły... Dlatego walczyliśmy o te wakacje i czasami wystarczyła decyzja dyrektora, żeby dziecko spędziło lato we własnym domu rodzinnym, tam, gdzie zgodnie z decyzją sądu nie mogło żyć.... „Uwaga, uwaga: Dziecko zbuntowane, złe... Pamiętajcie wychowawcy, że to są dzieci, które potrzebują największej pomocy...” Więc pomagaliśmy umieszczając je w ośrodkach socjoterapii i ośrodkach wychowawczych. Albo jak już pojawiła się rodzina zastępcza, wciskano im na siłę to „najtrudniejsze” - pomimo sprzeciwu wychowawcy. A gdy coś poszło nie tak i rodzina dziecko „zwracała”... Kto winny? No przecież ten zły, niedouczony wychowawca. Przecież dyrektor nie może być winny, jest najlepszym psychologiem świata, doskonałym pedagogiem, matką i ojcem jednocześnie wszystkich dzieci. Dyrektor zawsze powie, że jego zdanie było inne i to wychowawca popełnił błąd... A tak naprawdę liczą się statystyki: Ile rodzin posklejano, ile rozbito, ilu dzieciom się „pomogło” umieszczając je w zamkniętych ośrodkach... Dziś dom dziecka, w którym pracowałam funkcjonuje nadal. Wciąż wmawia się tam dzieciom, że tworzą „relacje” z wychowawcą. Wielka gra pozorów. A jak taki wychowawca mógłby pomóc dziecku, skoro każdy jego ruch jest ograniczany przez przełożonego... Młodym wychowawcom szybko podcina się skrzydła i młodzińczy zapał. Najlepsi rezygnują nie wytrzymując systemu nakazów, systematycznego niszczenia ich entuzjazmu. Odchodzą nie z powodu trudności pracy z dziećmi, ale z powodu ograniczania ich indywidualnych pomysłów. Bo ważniejsze są statystyki, bo trzeba pochwalić się wynikami, bo dyrektor po raz setny ma zostać pochwalony przez władze. Popatrzcie, „człowiek z sercem na dłoni”, „mentor”. A w rzeczywistości – człowiek bez emocji i uczuć, które gdzieś wiele lat wcześniej zagubił... Ciekawe, czy taki dyrektor potrafi popatrzeć w lustro.

Ja również po kilku latach w tym świecie pozorów odeszłam z pracy. Trudno funkcjonować w świecie, który jest ładny na zewnątrz, a pusty w środku. Spoglądam teraz z dumą w lustro, bo mimo uczestnictwa w tym folwarku - nie mogę sobie nic zarzucić. Bo byłam i jestem dobrym człowiekiem.